

Po co światu mnich? Michał Zioto ocso

w rozmowie z Katarzyną Kolską
i Romanem Bieleckim OP

w | drodze
✚

Po co światu mnich?

*Naszemu bratu Jarkowi
– Autorzy*

Po co światu mnich?

Michał Zioto oco

w rozmowie z Katarzyną Kolską
i Romanem Bieleckim OP

w | drodze


© Copyright for the text by Michał Ziolo OCSO, Roman Bielecki OP, Katarzyna Kolska, 2018

© Copyright for this edition by Wydawnictwo W drodze, 2018

REDAKCJA

Magdalena Ciszewska

KOREKTA

Grażyna Kwiek, Paulina Jeske-Choińska, Magdalena Wojtaś

REDAKTOR TECHNICZNY

Krzysztof Lorczyk OP

PROJEKT OKŁADKI I WNĘTRZA, SKŁAD I ŁAMANIE

Lukasz@Sulimowski.com

FOTOGRAFIE NA OKŁADCE

Roman Bielecki OP

FOTOGRAFIE

Archiwum prywatne Michała Ziolo OCSO: 106, 111, 112, 116, 123, 125, 126, 129, 130, 134, 138, 143, 148, 153, 154, 161, 162, 165, 166, 170, 182, 186, 236, 247, 287, 295, 314, 346; archiwum DA Górka – 168, 169, 175, 176; archiwum braci z Aiguebelle: 202, 206, 209, 212, 214, 217, 219, 222, 224, 226, 228, 231, 232, 235, 239; Roman Bielecki OP: 6, 12, 20, 24, 32, 43, 44, 52, 54, 63, 82, 96, 98, 188, 193, 242, 258, 264, 268, 272, 290, 304, 308, 320, 327, 328, 330, 338, 349, 352, 355, 362, 368, 374, 377, 378, 384, 386, 399; Grzegorz Kaczorowski: 102.

Dziękujemy firmie KREISEL Technika Budowlana Sp. z o.o.
za pomoc finansową przy wydaniu tej książki.

KREISEL
KLEJE • GIPSY • TYNKI

ISBN 978-83-7906-241-6

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.

Wydanie I, 2018

ul. Kościuszki 99, 61-716 Poznań

tel. 61 852 39 62, faks 61 850 17 82

www.wdrodze.pl sprzedaz@wdrodze.pl

Wstęp

O tej rozmowie marzyliśmy od dawna. Oboje znaliśmy ojca Michała od wielu lat, czytaliśmy jego książki. Był też autorem tekstów, które drukowaliśmy w miesięczniku „W drodze”, gdzie oboje pracujemy. Im więcej pisał, tym chęć rozmowy z nim stawała się coraz bardziej nagląca. Ale on kazał nam na siebie poczekać. Mówił: Jeszcze nie. Za wcześnie. W końcu wydał *Piosenkę humbaka* – kolejną część swojego dziennika. Pochłonęliśmy ją. I jeszcze raz poprosiliśmy, by zgodził się na rozmowę. Niespodziewanie dla nas samych powiedział: Przyjeżdżajcie do Aiguebelle.

Przez kolejne miesiące układaliśmy w głowie pytania – było tyle spraw, o których chcieliśmy z nim porozmawiać. Baliśmy się, że tydzień, który mógł nam poświęcić, to za mało. Aż w końcu zobaczyliśmy go na niewielkim dworcu autobusowym w Montélimar na południu Francji. Czekał na nas jak na dobrych znajomych – serdeczny, uśmiechnięty, z tym swoim specyficznym, trudnym do opowiedzenia poczuciem humoru.

Przygotował dla nas specjalny pokój do pracy, w którym każdego dnia – najpierw przed południem, a potem po południu – spędzaliśmy długie godziny. Dopieszczał kawą, herbatą, przynosił konfitury i ciastka. A my słuchaliśmy. Szybko zrozumieliśmy, że ofiarował nam rekolekcje życia. I że to już się nigdy nie powtórzy. Dzielił się swoją opowieścią o Panu Bogu, wierze, Kościele. O miłości, przebaczeniu, o zakonnej codzienności – czasem trudnej, chropowatej i uwierającej jak kamyk w bucie. Pokazywał swoje życie, tak inne od tego, które znamy.

Wciąż nie mieściło nam się w głowie, jak to się stało, że człowiek tylu talentów, niebanalny pisarz, artysta, znakomity rekolekcjonista i uwielbiany przez tłumy duszpasterz dominikański zostawił nagle życie, które było piękne, głębokie i spełnione, by zacząć wszystko od nowa. By się urodzić jeszcze raz jako trapista.

Rozmowa z nim sprawiła, że wiele rzeczy musieliśmy przemyśleć od nowa. Zaskakiwał nas, wzruszał i zastanawiał. Wróciliśmy inni. Wiedzieliśmy, że to nie jest wyłącznie opowieść o jego życiu. Że to jest też opowieść o nas samych. Dlatego mamy nadzieję, że w tej książce każdy odnajdzie kawałek siebie. I że ta rozmowa zmieni Wasze życie.

Katarzyna Kolska, Roman Bielecki OP



*Père
Mikaël*

Po co tu przyszedłem? Odpowiedź na pytanie: po co, uzyskujemy przez eliminację fałszywych odpowiedzi, albo takich, które wydają się nam słuszne.

Trzeba sobie zrobić po prostu listę. Przyszedłeś tutaj, żeby mieć spokój? Żeby pisać, czytać, być kimś znanym? Podziwianym za to, że wybrałeś takie surowe życie? Ktoś tyra i nikt go nie pochwali, a ty, gdy powiesz, że jesteś trapistą, to będzie coś?! Więc trzeba sobie zrobić listę i odpowiedzieć na pytania – oczywiście nie w ciągu jednego dnia, bo to troszeczkę trwa – po co tu jestem i co jest najważniejsze.

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY / 12

Duchowy ślusarz, czyli o tym, kiedy przestaje się udawać,

w którym klasztorny dzwon bije przed czwartą rano, a ojciec Michał opowiada nam o bracie buldogu, o tym, kiedy mija zakochanie, o czasie spędzonym na modlitwie i o wielkiej ciszy zapadającej wieczorem.

ROZDZIAŁ DRUGI / 32

Makaron z marchewką w krążkach, czyli wszystkie nasze ascezy,

w którym ojciec Michał zaczyna od przypomnienia szalonej herbatki u Kapelusznika z Alicji w Krainie Czarów, mówi o tym, dlaczego Boga nie można kochać mniej radykalnie, zdradza, kiedy w klasztorze mnisi jedzą dzika, opowiada o gazetach spod lady i o tym, co zrobił pies prezydenta Macrona.

ROZDZIAŁ TRZECI / 54

Okręt, czyli o życiu ślubami,

w którym wychodzi na jaw, że życie zakonne to nie jest małżeństwo z Jezusem i że opat nie jest papieżem; dowiadujemy się, ile zarabiają zakonnicy i na co wydają pieniądze, i że czasem lepiej spuścić wzrok i nie wychodzić z celi.

ROZDZIAŁ CZWARTY / 82

Co ja tu robię, czyli o pracy,

w którym ojciec Michał zdradza tajemnice rynku truflowego we Francji, mówi o pożytkach płynących z czytania prozy Borowskiego, diagnozuje stan psychiczny braci, pozwala nam zajrzeć do łazienki mnicha i z nostalgią przyznaje, że bezpowrotnie minęły czasy siedzenia z kawą pod platanem.

ROZDZIAŁ PIĄTY / 106

Fotografie, czyli wspomnienia o domu,

w którym ojciec Michał wyjaśnia, dlaczego nie lubił chodzić do przedszkola, wspomina dzień, w którym się dowiedział, że zostanie księdzem, opowiada przegodę swojego taty, który jechał do mamy w jednym bucie, wstydzi się mało męskich butów do pierwszej komunii i tłumaczy, że klasztor nie jest domem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY / 138

Psy Pańskie, czyli dominikanie,

w którym dowiadujemy się, że księża ubrani na czarno wydawali się ojcu Michałowi dziwni, że klasztor w Poznaniu przypominał mu szpital, a praca w miesięczniku „W drodze” to była szkoła życia. Słuchamy też opowieści o zwierzętach, które przyszły na mszę w Gdańsku, o psie, który pływał w kajaku, o zupie rozdawanej na dworcu PKP i o Panu Bogu, który sprawdza, co się mówi na kazaniach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY / 188

Zapukaj do bramy, czyli jak się zostaje trapistą,

w którym ojciec Michał wyjaśnia, jak z mężczyzny zrobić zakonnik, tłumaczy, dlaczego mnich wcale nie chce zostać księdzem, i cytuje regułę św. Benedykta, który nakazywał utrudniać kandydatom wstąpienie do zakonu.

ROZDZIAŁ ÓSMY / 202

Dzieci tego samego Boga, czyli o męczennikach z Tíbhírine,

w którym ojciec Bruno czeka na stacji w gumiakach, a Christian de Chergé pęka ze śmiechu; rekonstruujemy ostatnią noc braci męczenników, dowiadujemy się, że strach jest bardzo ludzki, a oddanie życia za nieprzyjaciół to łaska.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY / 242

Spokojnie, Misiu Paddingtonie, czyli o byciu księdzem,

w którym oglądamy obrazek prymitywny ojca Michała i dowiadujemy się, że bardzo ceni Lolka Wojtyłę idącego przez błoto, kardynała siedzącego w więzieniu w dżungli i św. Franciszka pukającego do bramy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY / 258

Dlaczego tak delikatnie śpiewamy, czyli o starokawalerstwie i kobiecej wrażliwości,

w którym rozmawiamy o gangu księży motocyklistów, męskiej hysterii i arogancji, zakonnych wizytatorkach i o tym, że mnich lubi mieć święty spokój.

ROZDZIAŁ JEDENASTY / 272

Od pustelni do Alexionu, czyli skąd się wzięli trapiści,

w którym czytamy o niespokojnym sercu Roberta z Szampanii, Bernardzie wychowanym na pieśniach trubadurów i Armandzie, który po śmierci ukochanej wstąpił do klasztoru. Zaglądamy też do kotła, w którym powstaje słynna nalewka mnichów, i dowiadujemy się, że Polska to nie jest kraj dla trapistów.

ROZDZIAŁ DWUNASTY / 290

Opowiadanie na siedem uśmiechów, czyli o pisaniu,

w którym słuchamy opowieści o miłości ojca Michała do nauczycielki języka francuskiego, a także o bajce, którą napisał do „Świerszczyka”, o roli Pana młodego w *Weselu* i o trzytygodniowej anginie, dzięki której przeczytał *Trylogię*.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY / 308

Zeiman, rower i pularda, czyli co mnich robi, kiedy się nie modli,

w którym ojciec Michał odwiedza Pippi Långstrump, czyta biblię kapitana Borchardta, ogląda roznegliżowane kury, ujawnia talenty kulinarne i serwuje nam zrazy zawijane z purée z selera i ziemniaka. Wyruszamy też na poszukiwanie konia, a na koniec łapiemy gumę w rowerze.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY / 330

Bobry Pana Boga, czyli codzienność mnicha,

w którym ojciec Michał tłumaczy, co to znaczy być bratem dla drugiego brata, opowiada o cotygodniowym obieraniu jarzyn i wspomina brata Clementa, który poszedł z koniem do weterynarza.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY / 368

Poletko życia, czyli z kim spędzę wieczność,

w którym odwiedzamy przyklasztorny cmentarz i rozmawiamy o tym, jak wygląda pogrzeb mnicha, przyglądamy się kosowi na mogile brata Gabriela, dziwimy się, że na tabliczkach nagrobnych jest tylko data śmierci, i dowiadujemy się, że za życia lepiej się zdrowo prowadzić.

ROZDZIAŁ SZESNASTY / 386

Żyj tak, żeby pytali, czyli co po mnie zostanie,

w którym ojciec Michał mówi, że mnisi nie powinni udzielać rad, a opactwo to nie są duchowe płuca diecezji; opowiada o szczęściu, głodzie Boga i dronie, który nie pozwala mnichom zapomnieć, że za murami klasztoru jest zwyczajny świat.



ROZDZIAŁ PIERWSZY /

***Duchowy ślusarz,
czyli o tym,
kiedy przestaje
się udawać***



Opactwo Notre-Dame d'Aiguebelle – Naszej Pani, jak mówią o Maryi Francuzi – leży mniej więcej sto kilometrów na południe od Lyonu. Ze względu na topograficzną orientację lepiej byłoby powiedzieć, że to nieopodal trzydziestotysięcznego miasteczka Montélimar, w którym francuski rząd zbudował elektrownię jądrową, a cztery smukłe kominy są betonowym dodatkiem do krajobrazu. Stamtąd już naprawdę jest blisko. Kilkanaście kilometrów wąską drogą wśród pól, którą stali bywalcy przyklasztornego hotelu znają na pamięć. Nowicjusze, tak jak my, korzystają z pomocy jednego z braci, oddelegowanego do odbierania gości ze stacji kolejowej. To już granica Prowansji wytyczona szerokimi polami lawendy. Pordzewiałe tablice informują, gdzie należy skręcić do *basilique*, *monastère*, *magasin de souvenirs*. Zajeżdżamy na żwirowy podjazd przed dwupiętrowym hotelem. Na parkingu kilka samochodów i figura św. Józefa, taka, jakich wiele przy naszych kościołach.

Jest wczesny wieczór. Wieje ciepły, dość porywisty wiatr. To mistral, który za zwyczaj przynosi zmianę pogody i nie pozwala spać.

Nieco poniżej hotelu widać podłużny budynek klasztoru, kościół z dzwonnicą i zabudowania gospodarcze, odbijające się jasnym kamieniem od ciemnej zieleni okolicznych wzgórz. Asfaltowe dróżki wysprzątane z liści. Wszystko zadbane, ale też bardzo swojskie i zwyczajne – mała koparka pod murem, szopa na narzędzia z niedomykającymi się drzwiami i stare plastikowe beczki upchane za drzewami. Tak widzimy na początek krajobraz trapistów.

Obudziło mnie bicie dzwonów o piątej rano.

Pierwszy raz biją za piętnaście czwarta. Widocznie pani nie słyszała. Potem o czwartej i o piątej.

Dzwon wyznacza rytm waszego życia?

Tak. Siedem razy w ciągu dnia zbieramy się na modlitwę, więc najpierw dzwon nas zwołuje – jest pierwsze uderzenie, a potem drugie, kiedy już jesteśmy w kościele – to znak, żeby rozpocząć.

Ktoś ciągnie za sznurek na dzwonnicy?

Zasłonię się regułą św. Benedykta jak tarczą. Mówi ona, że do opata należy troska o zwoływanie mnichów na godziny służby Bożej. Może się tym zająć sam albo powierzyć to zadanie jakiemuś sumiennemu bratu, który dopilnuje, żeby modlitwy odbywały się o właściwej porze. Nasz opat wybrał opcję sztucznej inteligencji i na dzwonnicy wszystko jest zaprogramowane. Pamiętam jednak czasy, kiedy sznury od dzwonów z naszej prowansalskiej dzwonnicy były spuszczone do wnętrza kościoła i każdy nowicjusz musiał opanować bardzo trudną sztukę tego boskiego telegrafu, bo my uważamy, że dzwon jest głosem Boga.

Wyobraźmy sobie, że dzwonnik zasnął albo że mechanizm się zepsuł...

Święty Benedykt przewidział procedury na wypadek takiej katastrofy, choć podkreślał też, że należy się pilnować, aby takie rzeczy nie miały miejsca; ktoś, kto dopuści się zaniedbania, musi w oratorium odpowiednio zadośćuczynić Bogu. Dlatego punktem honoru każdego mnicha jest przyjść nieco wcześniej

do chóru. Gdyby jednak wspólnota zasnęła, to należy „przeciągać nieco Psalm 66, aby wszyscy zdążyli się zejść na Psalm 50...” – czytamy w regule.

Bez tych dzwonów nie dałoby się funkcjonować? Przecież każdy ma zegarek.

Głos dzwonu przychodzi do nas z góry, czasami jak piorun, wcale nie jest dyskretny, to informacja dla nas, że zaraz będzie przechodził Ktoś cichy i pokornego serca i warto oddać Mu chwałę. I zrobić Mu przyjemność. Jest to też znak dla ludzi, że jesteśmy i czuwamy. Poza tym, jak świat światem, nigdy nie słyszano, a Biblia o tym zaświadcza, żeby Izrael gromadził się sam. To Bóg gromadzi swój lud. Jego głos.

Czy ten dzwon was budzi?

O nie, my się budzimy dużo wcześniej. W *Pożegnaniu z Afryką* jest taka scena, kiedy służący widzi palące się wokół trawy i budzi właścicielkę farmy słowami: Msabu, wstawaj, myślę, że Bóg nadchodzi. My też budzimy się nieco wcześniej, bo Bóg nadchodzi.

A dlaczego ten dzwon musi bić już przed czwartą?

Już powiedziałem: żeby nas ostrzec, że On już nadchodzi. To pytanie przypomina mi skargę bohatera *Dnia świra*, który wychyla się przez okno i woła do skuwających asfalt robotników: Panowie, czy wy musicie tym młotem tak wcześnie napier... To, że ja nie wstaję o szóstej rano, nie znaczy, że ja nie pracuję!

Ale o siódmej rano też można chwalić Pana.

Hm... można, ale są takie momenty, które Ewangelia uważa za uprzywilejowane do kontaktu z Panem Bogiem. Jezus wstawał przed innymi i szedł na pustynię, na ubocze, i tam się modlił do swojego Ojca. Poza tym to jest dar. Jeżeli sobie odmawiam snu i zaczynam czuwanie, to chcę przez to pokazać, że jest Ktoś, dla Kogo warto z tego snu zrezygnować. Kiedy dwoje zakochanych ludzi nie może się ze sobą rozstać i przedłużają ten moment, ile tylko się da, to nikt się nie dziwi. Każdy powie: To normalne, oni się kochają. A kiedy mówimy o Panu Bogu, to zaraz pytamy: A dlaczego wstajemy tak wcześnie? A czemu ma to służyć? Jeśli w klasztorze wszystko zostanie zracjonalizowane, to należy zamknąć klasztor i się rozejść.

Wy chcecie czuwać wtedy, kiedy inni śpią?

Czuwamy nad tymi, którzy śpią, a przede wszystkim z tymi, którzy nie mogą spać: z chorymi, z tymi, którzy cierpią, umierają...

Wstając rano, myślicie o tych, którzy nie mogą spać?

No nie, nie oszukujmy się, nie wyskakuję z łóżka o trzeciej piętnaście ze świadomością, że teraz się łączę duchowo ze wszystkimi nieszczęśliwymi, którzy cierpią na bezsenność. Poza tym ja nie mam się nad tym zastanawiać. Moje chcenie czy niechcenie, moje emocje – pozytywne czy negatywne – nie mają aż tak wielkiego znaczenia. Dzwon dzwoni, woła, wstaję, idę.

To tak, jak z pewnym proboszczem, do którego przyszła kiedyś zgorzsona parafianka i mówi: W oknach księdza widzę słoje z różnymi owocami leśnymi i ogródkowymi, które są zasypane cukrem. Ja wiem, po co to jest. Ksiądz robi z tego nalewki. A ksiądz na to: Jakie nalewki!? Zebrałem trochę owoców, wrzuciłem do słoja, przykryłem cukrem – reszta to nie ja, to Pan Bóg. I to jest opis tego, co my robimy. Zbieram się – chce mi się czy nie – kładę do słoja, czyli stoję w stallach, przysypuję to cukrem, czyli zaczynam śpiewać, a reszta to już działanie Boga.

Wstawanie o tak wczesnej porze jest wbrew porządkowi natury. Przecież to jeszcze przed wschodem słońca...

Ale dlaczego was to tak przeraża?

Nie przeraża. Raczej dziwi. Próbujemy zrozumieć.

Tylko że daru nie da się zrozumieć.

Pierwotna gorliwość kochanków kiedyś mija.

Miłość do Pana Boga nie mija. Zmienia się. Na początku mnich jest podniecony tym, co robi. I bardzo chce dostać w kość.

Udowadnia sobie, że potrafi?

Że potrafi, ale też, że jest kimś nadzwyczajnym, wybranym. To wybranie go w jakimś sensie podnieca, wszystko jest na takim wysokim C. Thomas Merton[amerykański trapista, 1915–1968 – przyp. red], mój znany poprzednik

w zakonie, pięknie to opisał: Kiedy przekraczał furtę klasztorną, z dramatyzmem i wzruszeniem powiedział jakiemuś biednemu pielgrzymowi, który stał obok: Proszę się za mnie modlić – wszedł i drzwi się za nim zatrzasnęły. A potem po latach śmiał się, że było to miałkie i pretensjonalne. Ale nie trzeba się temu dziwić. Po prostu jesteście pretensjonalni, przynajmniej na początku. Życie mnicha zaczyna się w momencie, kiedy ma pierwszy kryzys. Najczęściej dzieje się to po sześciu–siedmiu miesiącach.

I jak się ten kryzys objawia?

Znaki są klasyczne i łatwo rozpoznawalne dla wspólnoty. Na początku nowicjusza jest takim przemyślającym meteorologiem – każdemu mówi dzień dobry, jest uśmiechnięty, usłużny, uważa, że to, co otrzymuje i przeżywa, nie jest jeszcze dostatecznie mocne. Wyobrażał sobie, że ci trapiści to jakaś masakra duchowa i fizyczna, a oni dają mu jeść, pozwalają się wyspać, nie robią wymówek, kiedy nie wstanie na poranną liturgię, są mili i łagodni. Więc on podejrzewa, że go oszukują, że coś przed nim ukrywają. On chce być jak stary żołnierz – wstawać przed innymi żołnierzami, kłaść się później, spełniać wszystko na sto procent. A stary żołnierz wie, że tego się nie da spełnić. Że kiedy jest okazja, to trzeba zjeść albo się przespać w marszu i kontynuować życie pod regułą. Stary żołnierz wie, że nie ze wszystkimi braćmi będzie się przyjaźnił. Że jest brat buldog, który warknie, brat koń, który kopnie, brat owca, który pójdzie za tobą, chociaż nie ma takiej potrzeby. Są różne typy. Należy z nimi utrzymywać poprawny kontakt, ale nie wchodzić zbyt głęboko w ich dusze. Nie tylko dlatego, że oni są tacy, jacy są, to znaczy trudni charakterologicznie, ale to też nauka, że dzielenie się z kimś nie polega tylko na tym, że ja mu coś dam, ale również na tym, czy on chce to przyjąć.

Jak wspólnota rozpoznaje, że brat ma kryzys?

W pewnym momencie gaśnie tak zwana łaska zaślepienia. Ta łaska dotyczy każdego powołania. Przychodzimy tutaj, bo nie znamy prawdy. Na początku wszystko nam się wydaje idealne. Architektura jest wspaniała. Brat mówi: Jestem zafascynowany architekturą cysterską – ta czystość, te kamienie, które mówią. Wszystko jest tak inne niż kościół parafialny, z którego wyszedł, obwieszony barokowymi obrazami i kapiący od ornamentów. Przeżywa tę

Czuwamy nad tymi, którzy śpią,
a przede wszystkim z tymi,
którzy nie mogą spać.
Kościół w Aiguebelle.





architekturę i bracia muszą go oczywiście wysłuchać. My już tych kamieni nie widzimy i to jest normalne.

Łaska zaślepienia mija. I co?

Łaska zaślepienia zostaje nowicjuszowi odebrana. Dlaczego? Dlatego że on musi zrobić pierwszy krok wyrzucenia siebie z siebie – żeby przyjąć coś, co Pan Bóg chce mu dać, na warunkach Pana Boga, a nie na warunkach tego człowieka, który przyszedł. To spada nagle. Nie ma jakichś konkretnych powodów, wszystko jest tak samo. Ale coś się kończy.

Byłem kiedyś na kursie przysposobienia monastycznego, można powiedzieć, że to było takie technikum „duchowlane”. Prowadzący kurs narysował na tablicy pionową linię i powiedział: Życie zakonne wygląda tak. Jest przed i po. Każdy z nowicjuszy musi przejść przez *un rien*, czyli przez coś, co go ogoloci, porani, żeby wyszedł z tej skóry węża, stając się człowiekiem na tyle plastycznym, że będzie go można ukształtować na nowo.

Jaki jest pierwszy objaw kryzysu?

Zatrzymanie funkcji liturgicznych. Nowicjusz przestaje śpiewać. Widać, że pod spodem jest bierna agresja – wzrok oskarża, gesty są błazeńskie, wykonywane z przesadą. A on całym sobą mówi: W ładny kanał mnie wpuściliście. To ja wam zaufałem i co widzę? Bo on wszystkich braci uważał za świętych. Oni w dalszym ciągu są tacy, jacy byli – nie ma tam żadnej agresji, nie ma gestów, które byłyby przesadzone.

Przestaje jeść. To jest takie więzienne. W więzieniu przed buntem poszczą. Nie byliście w więzieniu?

Nie.

To jeszcze nic straconego.

Czyli różowe okulary, w których tutaj przyszedł, nagle mu spadły?

Nie. On dalej chce je mieć na nosie. Ale Pan Bóg mu je zdejmuję, zatrzymując to, co się nazywa doznawaniem przyjemności duchowej. To jeszcze nie jest noc ciemna, to nie jest oschłość. To po prostu takie pierwsze zatrzymanie jego energii, jego przeżywania i jego doznań.

No i co?

Kryzys jest po to, żeby zostać albo odejść. Inaczej mówiąc: to zaproszenie do wyjścia ze sfery wirtualnej i zmierzenia się z realem, w którym ponoszę odpowiedzialność za swoje wybory, a nie zostaję w dość komfortowym zawieszaniu swoich decyzji. Wtedy przewidziane są następujące procedury: najpierw brat rozmawia z mistrzem nowicjatu, na którego wylewa kubel pomyj. Jego żołądek musi się przestawić na naszą strawę duchową, a on jeszcze trawi to, co przyniósł ze świata. Więc wyrzuca to wszystko na mistrza nowicjatu, który powinien być takim człowiekiem jak ojciec Czesław Bartnik [wieloletni mistrz nowicjatu zakonu dominikanów – przyp. red.]. To najlepszy mistrz nowicjatu, jakiego znam. Naprawdę. Ani za bardzo emocjonalny, ani za bardzo zaangażowany, taki, powiedziałbym, neutralny. Mistrz nowicjatu nie może poklepać po plecach i powiedzieć: Nie przejmuj się, masz powołanie, ja cię podtrzymam.

A co powinien zrobić?

Poradzić mu, żeby wziął prysznic i się przespał. Może też zapytać, co mu się nie podoba. Nowicjusz oczywiście użyje argumentów duchowych z górnej półki. Czyli na przykład powie, że brat buldog chrząka w czasie *lectio divina*, czyli nie przeżywa. Wtedy my mówimy: Skąd wiesz, że nie przeżywa? Wszystko relatywizujemy i doprowadzamy go do czarnej rozpaczy. I po takiej rozmowie on albo sobie pójdzie, albo zostanie. Nie ma co żałować.

Nie należy walczyć o powołanie?

Ja jestem takim duchowym ślusarzem i uważam, że jeśli ktoś ma powołanie, to zostanie tak czy owak, zawalczy o nie, uczepi się ostatniej deski z roztrząskanego okrętu swoich marzeń i będzie płynął do brzegu. A jeśli nie ma, to nawet przy wielkich tłumaczeniach i terapiach, przeciąganiu go na naszą stronę, wciąż będzie nieszczęśliwy. To tak, jakby się ożenił z kobietą, której nie kocha, bo matka mu powiedziała, że ta miłość kiedyś nadejdzie, więc czeka, miłość nie nadchodzi i on jest po prostu nieszczęśliwy.

Przeżył ojciec taki kryzys?

Oczywiście. Każdy przeżywa. Benedykt w swojej regule radzi, żeby nie uciekać od razu. To dobra intuicja. Ojcowie pustyni mówili to samo: Śpij, jedz, ale

Klasztor Aiguebelle.
Przychodzimy tutaj, bo nie znamy
prawdy. Na początku wszystko
nam się wydaje idealne.





nie opuszczaj celi, nie uciekaj. Dlatego że wszystko, co cię spotyka, jest z Pana Boga. Możesz to przyjąć i się dowiedzieć, czy masz powołanie, bo przecież formacja jest po to, żeby je rozpoznać, sprawdzić, czy to twoje miejsce, bo może sobie coś wmówiłeś, chciałeś uroczyście okadzić swoje „lepsze ja” albo zrzucić z siebie odpowiedzialność za życie. Ten czas jest również po to, żeby się nauczyć grać na warunkach Boga. One są dość trudne, ponieważ polegają na zabiciu twojej pychy. Każdy powie: Ja jestem pyszny? Pan Bóg odpowie: Tak, jesteś pyszny. Jesteś strasznym egoistą, egocentrykiem. A reguła nie zgadza się na nasz egoizm i mówi: Musisz coś z tym zrobić. Wstawanie wcześniej rano służy też temu, by osłabić nasze myślenie, że w życiu duchowym wszystko musi być bardzo racjonalne, że człowiek musi być na przykład wypoczęty, żeby działać. Że muszę się wyspać, żeby coś napisać. A reguła mówi: Ale ty nie musisz pisać. Ty nie przyszedłeś tutaj, żeby pisać, tylko żeby oddawać Bogu chwałę przez spełnianie swoich najczęściej drobnych obowiązków.

W regule jest specjalny rozdział przewidziany dla księży wstępujących do zakonu. Pojawia się tam pytanie, które Jezus zadał Judaszowi w ogrodzie Oliwnym: Przyjacielu, po coś przyszedł? Przecież to jest niesamowite, prawda? I każdy z nas, kto ma już jakoś ukształtowaną osobowość, pewną duchową praktykę, jakąś przeszłość mniej lub bardziej chwalebna, musi sobie takie pytanie zadać: Po co tu przyszedłem? Odpowiedź na pytanie: po co, uzyskujemy przez eliminację fałszywych odpowiedzi, albo takich, które wydają się nam słuszne. Trzeba sobie zrobić po prostu listę. Przyszedłeś tutaj, żeby mieć spokój? Żeby pisać, czytać, być kimś znanym? Podziwianym za to, że wybrałeś takie surowe życie? Ktoś tyra i nikt go nie pochwali, a ty, gdy powiesz, że jesteś trapistą, to będzie coś?! Więc trzeba sobie zrobić listę i odpowiedzieć na pytania – oczywiście nie w ciągu jednego dnia, bo to troszeczkę trwa – po co tu jestem i co jest najważniejsze.

Jak brzmi pierwsza odpowiedź na liście?

Jestem tu po to, żeby wyzbyć się mojego fałszywego „ja”, a ono nie znosi być podległe, więc najlepiej rozciągnąć je na siatce zakonnej reguły i uznać społeczność, która mnie przyjmuje, za środowisko mojego życia, mój mikrokosmos. Ja ją w jakiś sposób oczywiście tworzę, kształtuję, ale ona była przede mną. A Pan Bóg mówi jeszcze tak: Przyszedłeś tu po to, żeby czekać na Moje objawienia, będą ci dawał pożywienie w ilości, którą uznam za wystarczającą

dla ciebie. Czasem będzie go więcej, czasem będzie mniej. Czasem cię pocieszę, czasem cię nie pocieszę.

A co jest najważniejsze?

Najważniejsze jest trwanie, wierność.

W jednej ze swoich książek napisał ojciec, że Pan Bóg to taki hak, który nas łapie i podciąga.

Tak, Pan Bóg podnosi nas w momencie, kiedy się tego nie spodziewamy. Mogę być w dołku i Pan Bóg mnie właśnie wtedy podciągnie. Dlaczego? Żeby zobaczyć swoje życie z perspektywy ptaka. Jesteśmy za bardzo skupieni na detalu, dlatego Pan Bóg czasami podnosi nas do góry i mówi: Zobacz, jakie to jest piękne. Jacy ci bracia są piękni. Bo ja tego nie widzę. Dopiero kiedy On interweniuje, jestem w stanie spojrzeć i powiedzieć, że to rzeczywiście cudowna sprawa.

Ten detal to czasami praca, dom albo nasze obowiązki. Chyba dobrze, że się na tym skupiamy, prawda?

Pod warunkiem że nie przywiązujemy się za bardzo do myśli, że ma być tak, jak ja chcę. Pan Jezus mówi: Sprzedaj wszystko, co masz, rozdaj ubogim i pójdz za Mną. I widzimy młodzieńca, który odchodzi zasmucony. Bo my byśmy chcieli zachować wszystko i iść za Nim. Albo zachować co nieco na później. Kiedy byłem w nowicjacie u dominikanów, przełożony przywoływał historię mnicha, który zrezygnował ze wszystkiego, ale w klasztorze przywiązał się do dobrze zaostrzonego ołówka – to był jego ołówek i wara innym od niego! Jednym słowem – ofiarować i nic nie stracić. Oddać wszystko, ale terroryzować innych przez całe późniejsze życie drobnymi maniami, przyzwyczajeniami i upodobaniami. Trzeba wybrać. Inaczej się nie da. Nasze kłopoty biorą się stąd, że boimy się zaufać Panu Bogu. Mówimy do Niego: Uzdrów mnie, ale na moich warunkach, ja będę prowadził Twoją rękę chirurga.

No bo trudno jest zaufać Bogu, którego nie widzimy, którego obecności nawet nie czujemy, nie doświadczamy...

Ależ doświadczamy! Tylko że się tego wstydzimy. Zobaczcie, jest piękna jesień. Jeśli komuś powiem, że Pan Bóg namalował to dla mnie, to on mi odpowie,

że lekko przesadzam. Wiatr wieje i muska mnie po twarzy. Niby zwykły mi-
stral. A dla mnie to gest Pana Boga. On nie ma innych środków niż kolory liści,
podmuchy wiatru, śpiew ptaków. Kiedy koń zarzy i położy mi łeb na ramie-
niu, uważam, że dzień nie jest stracony. Albo pies podejdzie i przytuli pysk
do mojej ręki. Chcecie większych znaków? To szukajcie. Mnie te wystarczają.

O, dzwon bije...

To na sekstę.

Ile czasu spędzacie na modlitwie?

Można to policzyć. Jest godzina nocnej wigilii, potem pół godziny laudów
i czterdzieści minut mszy, to mamy już dwie godziny dziesięć minut. Potem
seksta, zaraz będzie – piętnaście minut, nona – piętnaście minut, czyli ko-
lejne pół godziny, co daje dwie godziny czterdzieści minut. Następnie mamy
pół godziny nieszpórów, a później kompletę, która trwa dwadzieścia minut.
Czyli trzy godziny trzydzieści minut.

Wymienił ojciec wspólne modlitwy. A kiedy jest czas na modlitwę indywidu- alną? Papież Benedykt XVI mówił, że potrzebna jest przynajmniej godzina medytacji dziennie.

Jest na to czas rano, od piątej do siódmej. Możesz wtedy wymedytować cały
świat. Przeczytać, napisać, porozmyślać. A jeszcze przed tercją też jest chwila
przerwy, prawie czterdzieści minut, i po pracy przed nieszpórami, ale wtedy
człowiek jest już trochę znużony. Po nieszpórach mamy piętnaście minut i po
komplecie jest jeszcze trochę wolnego czasu. Więc jeśli ktoś jest bardzo po-
bożny, to ma szerokie pole manewru.

Po jakim czasie człowiek przyzwyczaja się do tego rytmu?

Bardzo szybko. To tylko tak strasznie wygląda, ale gdybyście pobyli tu dwa
tygodnie, już byście się przyzwyczaili.

A co ojciec częściej robi na modlitwie – prosi o coś Pana Boga, dziękuje Mu, czy tak sobie z Nim jest?

Jestem. Jak najbardziej jestem.

O nic ojciec nie prosi?

Nie.

Ludzie głównie proszą.

Ja nie proszę, bo spostrzegłem, że nim poproszę, już mam przed sobą dar Boga, pakunek, osobę, i tym właśnie darem muszę się zająć, a nie kapryśnie i ze źle skrywanym rozczarowaniem upychać te prezenty na strychu lub wynosić do piwnicy.

A jeśli ktoś powie: Proszę się pomodlić za moje chore dziecko?

To się modłę. Za chore dziecko, za mojego chorego brata się modłę. I czasami, żeby samochód z marchewką dla Letycji, mojego konia, dotarł na czas albo żeby ten pretensjonalny nudziarz już sobie poszedł. I Pan Bóg tego wysłuchuje. Nudziarz znika, jakby go wichler porwał.

Ludzie sobie czasami wyrzucają, że nie potrafią się skupić na modlitwie, że myśli im uciekają do mało pobożnych spraw...

A nam jak uciekają. Ho, ho!

Jest bardzo ładna opowieść ojców pustyni na ten temat: Przychodzi nowicjusz do starego mnicha i się skarży, że w czasie modlitwy nachodzą go myśli nieczyste albo pełne złości i niechęci do braci. Na co starzec mu odpowiedział: A co cię obchodzą twoje myśli? Nie rób krzywdy braciom i tyle.

Siostra Faustyna pisała w Dzienniczku, że najgorsze myśli nachodziły ją w czasie adoracji.

To są ataki demonów. Nie chcemy w to wierzyć i się z tego śmiejemy, ale demony kręcą się wokół opactwa. Nie żartuję. Jeden się nazywa Absalom, a drugi Jezebel. Absalom to ten, który rozbija jedność wspólnoty, spiskuje przez tak zwane *murmuratio*, czyli szemranie. Bo mnisi nie krytykują otwarcie, tylko tworzą grupy i szemrzą – na opata, na ekonoma, na funkcjonowanie klasztoru. Brak jedności to tragedia dla wspólnoty.

A Jezebel?

Jezebel jest odpowiedzialny za wtrącanie się w cudze sprawy. Mnich, zamiast pilnować miejsca, które zostało mu wyznaczone, i zajmować się powierzoną

mu pracą, zaczyna zawłaszczać cudzy teren. Wiadomo, śliwki u sąsiada zawsze są smaczniejsze niż własne. Więc brat ogarnięty tym demonem tu komuś doradzi, tu podpowie, tu zrobi po swojemu, zorganizuje, zarządzi, urządzi. Może nawet ma rację i zrobi lepiej, ale to nie jest jego działka.

Dzwony w opactwie biją między innymi po to, żeby przeganiać z nas i z przestrzeni wokół nas demony. U nas w Galicji dzwony nosiły bardzo poetyckie i głęboko teologiczne inskrypcje: „Boga chwałę, lud zwołuję, demony odpędzam, mgłę rozpraszam, zmarłych oplakuję”.

O którym ostatni raz bije dzwon, wzywając was na modlitwę?

Na komplecie, przed dwudziestą.

O dwudziestej trzydzięści kończycie dzień?

Teoretycznie.

I wtedy zapada wielka cisza?

Tak. Wtedy zapada cisza. Zaczyna się po komplecie i trwa do pierwszego bicia dzwonów. To święty czas. Kiedy podejdziecie pod klasztor około dwudziestej drugiej, jest już rzeczywiście cicho.

Pytanie, co się dzieje w środku...

Jakby wymiotło. Nie ma ludzi.

Wszyscy w celach siedzą?

Tak.

No ale coś chyba robią w tych celach.

Powoli wszystko się wycisza. Nie ma łażenia, nie ma kąpieli. Cisza jest bardzo przestrzegana.

Czyli przed wielką ciszą trzeba się umyć.

Przed wielką ciszą trzeba zrobić wszystko. Ale niektórzy tę godzinę spoczynku trochę przeciągają. Tak jak ja. Ten czas po komplecie jest bardzo piękny. Wojtyła po komplecie już niczego nie robił, niczego nie tykał, żadnej książki.

To nicnierobienie było święte. Ale ja nie jestem Wojtyłą, więc jeszcze sobie troszkę skubię.

To znaczy?

Coś napiszę albo przeczytam.

A wszyscy myślą, że mnich się wtedy modli.

Modli się przez to, co robi. I choć nie jestem wyznawcą modlenia się przez coś, to w tym wypadku jest to rzeczywiście modlitwa. Bardzo intymne przeżycie. W tej ciszy mnich się czuje u siebie i jest szczęśliwy. Ludziom, którzy chcą do nas wstąpić, często powtarzam, że muszą lubić być ze sobą w takim wieczornym milczeniu. Wejdą w rytm klasztornego życia niezauważalnie w momencie, kiedy polubią ten stan wyciszenia. To bardzo łatwo sprawdzić, czy już się przyjęło klasztor jako swoje miejsce życia, analizując swoje wyjazdy i powroty. Można by pomyśleć, że trzeba się cieszyć w momencie opuszczania klasztoru, bo nagle się odetchnie. A ja, kiedy mam opuścić mury, odczuwam stres. Bo mnie tu dobrze.

Bo tu wszystko jest poukładane i przewidywalne.

Ale też moje. To nie jest dom, ale tu jestem na swoim i dobrze się w tym czuję. Krzątam się, czasem rozmawiam sam ze sobą. Tak jak wariat ze starego dowcipu, który lubił od czasu do czasu porozmawiać z kimś inteligentnym. I wtedy łapię się na tym, że gadam po francusku; to znak, że już jestem stąd. Ale proszę się nie obawiać o moje wynarodowienie: klnę po polsku, kiedy cegła spadnie mi na palec, i modłę się po polsku. Chociaż Biblię czytam po francusku, mimo że mam polskie wydanie. Za to do psa gadam po polsku. Wychowuję Florke na polskiego psa z fantazją.

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów
W drodze sp. z o.o.

Druk i oprawa:
Drukarnia READ ME
ul. Olechowska 83, 92-403 Łódź

Druk na papierze Munken Print White 80 g, wol. 1,5